# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr 9. Katowice, dnia 26-go lutego 1928

## Niedziela pierwsza Postu.

### LEKCJA

z listu św. Pawła do Koryntjan rozdział VI.

Bracia! napominamy was, abyście nadaremno łaski boskiej nie przyjęli. Albowiem mówi: czasu przyjemnego wysłuchałem cię; a w dzień zbawienia ratowałem cię. Oto! teraz czas przyjemny; oto teraz dzień zbawienia. Nie dawajmy nikomu żadnego zgorszenia, aby nie było naganione posługowanie nasze; ale we wszystkiem stawmy samych siebie, jako sługi Boże, w cierpliwości wielkiej, w utrapieniach, w potrzebach, w uciskach, w biciu, w więzieniu, w rozruchach, w pracach, w niespaniach, w postach, w czystości, w umiejętności, w nieskwapliwości, w łagodności, w Duchu świętym, w miłości niezmyślonej, w mowie prawdy, w mocy Bożej, przez broń sprawiedliwości po prawicy, i po lewicy: przez chwałę, i zelżywość, przez osławienie i dobrą sławę: jakoby zwodnicy, a prawdziwi: jako którzy nieznajomi, a znajomi, jako umierający, a oto żyjemy: jako karani, a nie umorzeni: jako smutni, lecz zawsze weseli: jako ubodzy, a wielu zbogacający: jako nic nie mający, a wszystko posiadający.

### EWANGELJA

u św. Mateusza rozdział IV., wiersz 1—11.

W on czas: Zawiedziony był Jezus od Ducha na pustkowie, by być kuszonym przez szatana. A poszcząc przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, uczuł później głód.

Przystąpił też kusiciel doń i rzekł Mu: Jeśliś jest Synem Bożym, powiedz, by te kamienie stały się chlebem. A On odpowiadając rzekł: Napisano: „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale każdem słowem, które pochodzi z ust Bożych".

Wtedy szatan unosi Go ze sobą do Miasta Świętego i stawia Go na narożniku świątyni, i mówi doń: Jeśliś Synem Bożym, rzuć się na dół; napisano bowiem:

„Aniołom swoim da rozkaz o Tobie,
a oni Ciebie na rękach poniosą,
byś snadź nie zranił swej nogi o kamień."

Jezus mu odrzekł: Napisano również: „Nie będziesz kusił Pana Boga swego."

Szatan unosi Go także na górę bardzo wysoką, i przedstawia Mu wszystkie królestwa świata i przepych ich, i mówi doń: Dam Ci to wszystko, jeżeli upadniesz i złożysz mi pokłon. Wtedy rzekł mu Jezus: Idź precz, szatanie! Napisano bowiem: „Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz i Jemu samemu służyć będziesz."

Wówczas szatan odstąpił od Niego, a oto Aniołowie przystąpili i służyli Mu.

### NAUKA.

Świat dzisiejszy sądzi powszechnie, że człowiek samym żyje chlebem, a więc jedynie z pracy rąk swoich. Im więcej przeto ludzie pracować będą, tem będą bogatszymi i zamożniejszymi. Praca więc, przemysł, kapitał są wedle dzisiejszego ludzkiego rzeczy tej pojęcia, wszechmocną siłą twórczą, która ma uszczęśliwić, raj zaprowadzić na ziemi. Cały więc ten przemysł jest jakoby złotym cielcem, w około którego ludzie dni naszych skaczą, wykrzykując na całe gardło: „Oto Bóg twój, ludu kochany, który wybawi cię z dotychczasowego twojego niedostatku i dostarczy ci niemało chleba!" W ten zaś sposób odzywać się, jest to jedno i to samo, co twierdzić: że człowiek o własnej swojej mocy może chleb sobie stworzyć i zgotować!

I dla tego też poucza nas Kościół, że nie samym chlebem żyje człowiek, a więc nie z samej tylko pracy; bo jako chleb zawisł od poprzedzającej go pracy, tak znów praca zawisła od niejednej rzeczy na tym świecie. Nie można nic zarobić, kiedy nie masz pracy; praca zaś otwiera się tylko wtedy, kiedy w kraju panuje porządek i bezpieczeństwo; porządek i bezpieczeństwo istnieje tylko wtedy, kiedy równie wszyscy znają swoje prawa i powinności i sumiennie ich dopełniają; kiedy trwa pokój i kiedy lud może się oddawać spokojnie pracy swojej. Wojna i wszelkie rokosze i zaburzenia, jak powstrzymują pracę, tak niszczą handel, rzemiosła i wogóle cały przemysł ludzki.

Panem zaś pokoju i wojny jest Bóg; on to oświeca, on dopuszcza zaślepienia na książęta i ludy, stosownie do tego, czy ich chce nagrodzić, czy ukarać. On jest władcą świata całego, On Panem zastępów, a jeśli w wyrokach Swoich postanowił wojnę, wtedy daremnemi się pokażą wszystkie zabiegi ludzkie pokojowe! I znają to wszyscy ci, którzy pracę swoją i przemysł swój po nad wszystko wynoszą i uczuwają dobrze, że wojna śmiertelny cios zadaje pracy. I stąd też ta trwoga i ich bojaźń na samo wspomnienie wojny; a mimo to ludzie ci nie zwracają się do Boga, nie myślą o Nim, nie proszą Go o odwrócenie tej straszliwej chłosty, i o utrzymanie pokoju, lecz zdają się na ślepy los w odrętwieniu swojem, a gdy rzeczywiście wybuchnie wojna i nietylko zatrzyma wbiegu całą machinę przemysłu i handlu, ale nadto ogniem i mieczem cały kraj spustoszy w szersz i wzdłuż i tysiące zaraz rąk powstrzyma od wszelkiej pracy i zatrudnienia, o wtedy widzą oni to i czują: że nie samym żyje człowiek chlebem, ani z pracy rąk swoich: lecz wszelkiem słowem, które pochodzi z ust Bożych. Pierwszem więc takiem słowem, pochodzącem z ust Bożych, jest ta niezaprzeczona prawda: że wszelka praca i jej powodzenie zawisły od Boga, ponieważ to, co podtrzymuje pracę: pokój, porządek, zaufanie i bezpieczeństwo zawisły od woli Boga.

„Człowiek samym żyje chlebem, jedynie z pracy rąk swoich utrzymywać się może", wołają ludzie dni naszych, „a ponieważ sama tylko praca daje chleb, przeto też niedziele i święta niemało wyrządzają ogółowi strat i uszczerbków". I zaczynają publicznie po gazetach zawodzić żale swoje i obliczać urojone straty swoje i wysyłają, nawet do sejmów prośbę swoją, aby tenże powagą swoją ograniczył przynajmniej do najmniejszej liczby, jeżeliby nie zniósł zupełnie, święta i uroczystości nasze; bo i tak ludzie w dni te świąteczne — tak uzasadniają oni swój wniosek — przesiadują tyl-

ko po karczmach i szynkowniach, a gdyby pracowali, nietylko zarobiliby coś, ale nadto uchronili się jeszcze od pijaństwa.

Obrzydliwa to rzecz, moi Najmilsi! słyszeć coś podobnego z ust tych, co się zowią chrześcijanami; smutna i opłakana gdy na takich reformatów postępowych i na ich zabiegi z bliska patrzeć nam przychodzi. O zaprawdę! wstydzićby oni się powinni, wstydzić i rumienić bardzo, popatrzywszy na żydów, jak to oni obchodzą swój sabat i jak nigdy jeszcze, chociaż samym trudnią się handlem i zarobkiem pieniędzy, nie poskarżyi się na to, aby jaką stratę ponieśli, że w dzień swój świąteczny nie otworzyli sklepu swojego, nic nie sprzedali, nic nie kupili, słowem, że powstrzymali się od tego, co jest powszedniem ich zajęciem. Także żydów tych przodkowie, kiedy przed tysiącami lat obchodzili rok swój jubileuszowy, w którym wedle przepisu zakonu, co lat siedm przypadającym, ani siali, ani sprzątali, lecz to pożywali, co sobie oszczędzili z lat poprzednich; nie narzekali nigdy, ani biadali, że im przyjdzie z głodu pomrzeć, ale ufali w Panu, że im sowicie to wszystko wynagrodzi w innym roku. A nasi cywilizatorowie w zabiegach swoich zarobkowych jakżeby się wznieść mogli do tego zacnego żydów usposobienia, kiedy im się zdaje: że gdyby nie mieli w święta i uroczystości nasze pracować i ludu do tej pracy w polu zniewalać; gdyby nie mieli siać kazać, sprzątać i zwozić siana, zboża itp., jużby przez to wiele bardzo stracili.

Na takie postępowanie, znieważające przykazanie Boskie i kościelne, wołamy na was, Najmilsi! i przestrzegamy was, że nie samym chlebem żyje człowiek, nie z samej jedynie pracy, ale wszelkiem słowem, które pochodzi z ust Bożych.

Uznajcie więc nieprawość swoją, i starajcie się złe to naprawić szczerem nawróceniem się do Boga. Pracujcie, ale zawsze z Bogiem, sumiennie zachowując święte jego przykazania, a z radością, weselem i prawdziwą pociechą serca uznawajcie zawsze i wszędzie tę prawdę: że nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkiem słowem, które pochodzi z ust Bożych. Amen.

## Szacunek dla kapłana.

Marja Franciszka, miała za matkę bardzo pobożną niewiastę, ojciec zaś jej był płóciennikiem. Rodzice mieszkali w Neapolu. Ile razy matka do kościoła się zabierała, maleńkiej córeczki nie można było od niej oderwać, taką chęć miała do kościoła. Mając 2 lata, chętnie lubiła słuchać o Panu Bogu i rzeczach świętych. Katechizm znała nad swój wiek, tak, że w czwartym już roku przyjąć ją musiano do pierwszej spowiedzi św., gdyż jej prośbom nie można się było oprzeć. A to ubieganie się za odprawieniem spowiedzi św. pochodziło znów z gorącej chęci przystąpienia jak najprędzej do pierwszej Komunji św. Matka przeto zaprowadziła małą córeczkę do pobożnego kapłana do spowiedzi św. Zadziwił się spowiednik nie mało, przekonawszy się o tak dokładnej znajomości katechizmu tej czteroletniej dziewczynki i o tak serdecznym jej żalu przy spowiedzi, a szczególnie podziwiał jej gorące pragnienie Komunji św. Pierwsze słowo, jakie wyrzekła do swego spowiednika, było to: „ojcze, spraw to, żebym jak najprędzej do Komunji św. mogła przystąpić". Chętnie byłby spowiednik do jej życzenia się przychylił, gdyby przepis Kościoła na to pozwalał.

Nim ta pożądana chwila nadeszła, Pan Bóg udzielał jej hojnie łaskę wnętrznej modlitwy, którą godzinami na klęczkach się zajmowała. Z tem łączyła się także cześć i szacunek dla kapłanów. Gdy płakała, to ją widok kapłana uspokoił. Gdy kapłana zobaczyła, wskazując nań palcem, mawiała: oto Chrystus, bo w kapłanie osobę Chrystusa sobie wyobrażała. Kiedy kapłani obok jej domu przechodzili, zwracała na nich uwagę matki i przytomnych osób wołaniem: oto Chrystusowie, Chrystusowie! A ten szacunek dla kapłanów wzmagał się w miarę jej lat.

Wreszcie w siódmym roku dostąpiła tego wielkiego szczęścia przyjęcia po pierwszy raz Pana Jezusa do serduszka swojego. Jej radość była stąd nie do opisania, z wielkiego szczęścia płakała, twarz zaś jej rozgorzała od wewnętrznego ognia miłości tak, że obok stojący czuli bijące od niej gorąco. A ten upał można było na jej twarzy przy każdej Komunji św. uważać. Gdy po modlitwach dziękczynnych z kościoła do domu powracała, zawsze ją rozpromienioną widziano. Często też ją widziano przy Komunji św. rzewnie płaczącą, a od łez, które tak obficie wylewała, nie tylko suknie, ale ziemia była zmoczoną. Z częstą Komunją św. łączyła mała Marja jeszcze rozważanie gorzkiej męki i śmierci Zbawiciela, w której wiele pociech od Pana Boga doznawała.

Naśladuj, dziecko drogie, tę świątobliwą dziewczynkę w uszanowaniu dla kapłanów. Winnoś ich pozdrawiać, w ich obecności skromnie się zachować, ich jako zastępców Pana Jezusa poważać, bo oni to, co jest najdroższego i najkosztowniejszego, tj. łaski sakramentalne, a mianowicie Komunją św. nam rozdzielają. Szczególnie bądź im posłuszne w spowiedzi św. bo dziecko posłuszne i powolne na przestrogi spowiednika, z pewnością nie zginie.

## Widzenie artysty.

Drzwi od pracowni rozwarły się z hałasem i nowoprzybyły rozejrzał się arogancko dokoła. W pokoju panował mrok, gdyż całe miasto było spowite w gęstą mgłę, a krople deszczu dzwoniły jednostajnie o szybę, spływając po niej, niby ciężkie łzy. Siedzący przed stalugami artysta odwrócił się nagłym ruchem, jak gdyby zbudzony z pięknego głębokiego snu. Jego twarz blada i znużona, cała postać wątła i nikła, zdawała się być sama cieniem w mrocznej pracowni; lecz wraz z nowoprzybyłem wdarła się rzeczywistość, do której powoli wracał rozmarzony artysta.

— Słuchaj no, Avenel, przyszedłem ci powiedzieć, że ten człowiek, co ma ochotę na twoją pracownię, był u mnie znowu i przyrzekłem mu, że ją dostanie. Oddawna winien jesteś za mieszkanie, nie mogę czekać dłużej! Będziesz się musiał wynosić razem z swojemi płótnami — chyba, że zapłacisz pojutrze. Widzisz, nie odpowiadasz na moje listy, musiałem sam przyjść do ciebie.

Roześmiał się głośno. Jednakowoż spokój rozlany na bladej twarzy, jakaś uroczysta powaga, bijąca z ciemnych oczu, powściągły jego wesołość. Malarz wyglądał, jak nieżywy. Rzucił okiem na listy, leżące na krześle: nie rozpieczętowane.

— Zdaje mi się, że... że nie czytałem ich wcale, odrzekł Avenel; — widzi pan, tak byłem zajęty malowaniem, — by wykończyć obraz na czas oznaczony i posłać go na wystawę. A teraz, — ta twarz — nie umiem namalować twarzy!

— Co mówisz! Byłem przekonany, żeś już dawno skończył, — że obraz już gotów, — rzekł pierwszy z odcieniem pogardy w głosie. — Powiedziałeś mi pan, że wkrótce skończysz. Zdaje mi się, żeś pan złą obrał drogę. Te mistyczne religijne malowidła wcale nie idą! Zostawić to trzeba starym mistrzom. Ot, daj pan lepiej jakiś obraz historyczny! Zwykła publiczność lubi to najbardziej, czemu się wcale nie dziwię. Pozwól no pan, co to jest? „Wskrzeszenie córki Jaira“, nieprawdaż?

Nałożył okulary i przyglądał się uważnie rozpiętemu na stulugach płótnu. Artysta colnął się. Czuł instynktowo, że pan Solomon powie coś takiego, co go zrani. Miał nieznośny ból głowy, a serce trzepotało mu się w piersi, niby ptak konający. Lekarz doradzał mu wypoczynek i bąknął coś o osłabieniu działalności serca. Ale obraz musiał być skończonym przed 1-ym maja. Od tego zależało wszystko, — od tego zależało życie i szczęście Flory.

— Hm! Hm! Wcale dobrze, — zawyrokował po chwili p. Solomon. — Czegóż pan chcesz? Twarz? Czyż nie jest dobra? Czyja twarz?

— Jego twarz.

Artysta mówił cicho, jak gdyby do siebie.

— Nie widzę jej, nie widzę! Jest to zadanie ponad siły ludzkie, czuję to doskonale, — chyba, że On ześle widzenie! Nie jestem tego godzien. Gdy Haendel komponował swego „Mesjasza“, powiadają, że widział aniołów, schodzących na ziemię i odlatujących do nieba. Modliłem się o widzenie... Obraz zjawił się w moim umyśle pewnej nocy, gdy Flora chorowała, i zdawało się, że umrze... Zdawało mi się, że widzę, jak wszedł do pokoju i stanął przy niej i pochylił się nad nią. Myślałem, jakby to cudnie było, gdyby On znowu wrócił na ziemię i wskrzesił moje kochanie. Cały żal do świata i do ludzi, wszystkie krzywdy i bóle i ta ostatnia ciężka, bez miary ciężka strata, wszystko to szarpnęło mojem sercem. Zdawało mi się, że zwalił się na mnie ciężar bólu całej ludzkości... I wtedy ujrzałem przez mgnienie oka twarz Jego. Przez jedną jedyną chwilę... Widzenie pierzchło. A obraz pewno odrzucą, — Przerwał i myśl jego popłynęła w innym kierunku. „Flora nie będzie mogła jechać do Afryki .

— Czyż narzeczony nie może dać na to? Niech się pobiorą i niechaj jadą razem! — mówił wesoło p. Solomon, z zupełnem oderwaniem się od cudzych trosk, zapalając cygaro. Powiadał on zazwyczaj, że poczciwy Avenel jest niepoprawnym marzycielem, — i niedbale słuchał tego, co on mówił. To już taki jego „sposób“. Zawsze musi bujać w obłokach.

— Nie, on jest zbyt biedny. To, co ma, wystarcza zaledwie na życie. Miałem nadzieję, że sprzedam obraz. Wówczas Flora mogłaby jechać. Doktór ostrzegał przed spędzeniem zimy tutaj. Dla niej, po przybytem niedawno zapaleniu płuc, byłoby to niebezpieczne. Ale co począć?

— Ty sam tak źle wyglądasz, że tobie przedewszystkiem należy się kuracja — odrzekła p. Solomon,

Lecz Avenel zdawał się tego nie słyszeć. Oddawna już zapomniał, co znaczy troska o własne zdrowie. Wpatrywał się znowu w niedokończony obraz.

— No, to ja sobie idę, — oznajmił p. Solomon. Artysta nic nie odrzekł. Usiadł przed stalugami, pogrążony w myślach. Odwrócił się, gdy przybyły wychodził.

— I musisz opuścić pracownię, gdy tylko poślesz obraz do Akademji. Życzę powodzenia, — choć, jak powiadam, złą pan drogę obrałeś.

Drzwi się zamknęły. Pracownia, jak gdyby bardziej jeszcze pociemniała; tylko wąska smuga światła z góry padała na malowidło, na pochyloną nań postać Chrystusa, ścieląc się u stóp łoża córki Jaira.

„Dziewczynko mówię tobie wstań“.

Avenel załamał dłonie. Ach! Gdybyż wróciło widzenie, widzenie tamtej Twarzy!... Ach, jakże cały smutek świata, cała troska udręczonego serca — wzywały go, — jakże pragnęły tego jedynego światła, co padło z nieba na tę dolinę cieniu. Przemawiały one do tej słodkiej, śpiącej twarzyczki, — w tym starym domu żydowskim przed wiekami, — i odpowiedział im jedynie majestat zwycięskiej śmierci. Wzbił się krzyk: „Przemów do nas — przemów!“ Milczenie było odpowiedzią. Lecz oto w ciszy ogrodu zjawiła się promienna postać Chrystusa. On słyszał wszystko. A pochyliwszy się, zawołał na nią słodko. I mała duszyczka usłyszała i wróciła na głos Pana swego, — a otwarłszy oczy ujrzała nad sobą Tego, który ją do życia przywołał.

Ach! Widzieć, widzieć, tę Twarz. Niegodny był, zbyt mały, zbyt nikczemny, — by Ją ujrzeć i dać ją światu.

Drzwi skrzypnęły znowu. Tym razem była to Flora. Ucałowała ojca i rzekła:

— Mam tylko małą chwilkę czasu! Muszę już zaraz być w biurze. Jakże ci idzie praca, ojczulku? Już kończysz?

— Jakżeś przemokła, Floro! Szłaś pieszo?

— Spóźniłam się, — omnibus już odszedł.

Było to wysokie, szczupłe dziewczątko, o ciemnych piwnych oczach i rozgrzanej gorączką twarzyczce. Całe jej życie było walką, zmaganiem się z niedostatkiem, — a w ostatnich czasach i z chorobą. Takie, jak ta, duszyczki, ciężko zatrzymać przy życiu.

— Nie, kochanie, nie udaje mi się. Niegodzien jestem, Floro, by porywać się na takie dzieło, niegodzien!

— Miłość czyni nas godnymi, głęboka miłość, — rzekła Flora łagodnie. Magdalena przyniosła olejek drogocenny, polała nim nogi jego, obtarła je włosami, On nie nazwał jej niegodną!

Spojrzała na obraz i westchnęła. Gdyż twarz dzieweczki była słodka i piękna, groza śmierci oddana była po mistrzowsku, — lecz oblicze Chrystusa nie czyniło żadnego wrażenia. Istotnie, — nie pochwycił Jego wyrazu. Czegoś w niem brakowało.

— Zrobiłem testament, Floro, — rzekł artysta, jakby napół świadomie. — Było to przed kilku dniami, gdy myślałem, że stworzę coś wielkiego! I obraz ten, zapisałem tobie! Gospodarz mówi o wynajęciu tej pracowni, — i ma słuszność. Jeżeli się to stanie, Borrow obiecał sprzedać to malowidło do jakiejś prywatnej galerji. — Dreszcz nim wstrząsnął. — Powiedział, że poprawi go. Czułem to i lękałem się tego. Ale zato może dostaniesz zań dość pieniędzy, by jechać na wypoczynek. Potrzeba ci wypoczynku, Floro!

— A tobie, ojcze!

Zatrzymała się u drzwi, zapinając rękawiczki. Później przypomniała sobie, jak on wówczas spojrzał, na nią i z jaką miłością się uśmiechnął.

— Alboż mnie potrzebny wypoczynek? Zdrów jestem, pani Bates jest dla mnie bardzo dobra. Zdaje mi się, że przysyła mi jedzenie ze swego własnego stołu. Jest wiele zacnych ludzi na świecie, Floro!

Uśmiechnęła się, pocałowawszy go w rękę i wyszła, przyrzekając odwiedzić go jeszcze przed wieczorem, wracając z biura. Żaden głos wewnętrzny nie kazał jej powrócić, by ucałować go raz jeszcze.

by uścisnąć dłoń jego, powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Bardzo rzadko miewamy takie przeczucia. Odchodzimy z uśmiechem, a żaden głos nie szepnie nam: „Nigdy, nigdy już na tym świecie.

Gdy został sam, gdy echo kroków Flory umilkło na kamiennych schodach, — zapadł w pół sen, pół marzenie. Zdawało mu się, że zasnął, — i Widzenie spłynęło...

Widział wyraźnie światło w małym domu, słyszał zawodzenie żydowskich płaczek. Nagle odgłos lekkiego stąpania, — dźwięknął on jak struna harfiana, — wszystko umilkło.

I oto zjawił się Ten, Który przepływał morze Galilejskie, Ten, Który dziatki brał w swe ramiona, — a On patrzył w to promienne oblicze... Avenel, nie umiał wypowiedzieć tego, co czuł, — lecz łzy spływały mu po wybladłych policzkach, a błogość niewypowiedziana przepełniała mu serce...

Pragnął wydobyć z piersi głos, pragnął krzyknąć całemu światu, wszystkim, którzy cierpią i płaczą:

„Czyż nie widzicie Go? On to, zaiste żywy! Z ust jego zaraz popłyną słowa: „Powstańcie, powstańcie!“ On jest tutaj! To nie sen!

Ocknął się. Oczy miał suche. Drżał gwałtownie.

Wstał, podniósł paletę i pędzle i pracował aż do nocy. W uszach dźwięczał mu śpiew: drżał z zimna, a ogień wewnętrzny palił mu serce. Bóg dał mu Widzenie...

Gdy paleta wypadła mu z dłoni, — nie wiedział, jak się to stało? — spojrzał na twarz Chrystusa. Ktoś inny ją stworzył, — nie on. Inna ręka prowadziła jego dłoń! Inne oczy dobierały barwy, kładzienie! Dla ludzkości...

Z obrazu jaśniała Twarz, jaką widzieć dano ludziom w snach jedynie. To były właśnie te same oczy głębokie, litościwe! Oczy, które płakały nad nędzą i bólem świata, gdy łzy roniły nad grobem Łazarza! Łzy, wylane nad cierpieniami całych światów i całych wieków!

Oczy te zdawały się przenikać duszę Avenela. On wyciągnął ramiona z radosnym okrzykiem. Nieuchwytne światło, które biło od postaci Chrystusa, oblało całą pracownię. Usłyszał nad sobą wielki szum, jakby tysięcznych skrzydeł...

„Chryste, Chryste mój! Nie byłem godzien! — wybiegło raptem ze spalonych warg artysty i Avenel padł u stóp obrazu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie ocknął się nawet wtedy, gdy zaniepokojona długą jego nieobecnością Flora przybiegła do pracowni. Z zapalonem światłem podeszła do obrazu i krzyknęła z zachwytu! — Oczy jej padły na przedziwne pięknością i prawdą oblicze Jezusa.

— Kto to namalował?, — zawołała. — To cud, to zjawisko! Ojcze!

Ostatnie słowo zamarło na jej ustach.

Klękła przy leżącym, dotknęła jego ciała i zrozumiała...

— — — — — — — — — — — — — — —

Całe miasto podążyło do pałacu sztuki, by podziwiać „Wskrzeszenie córki Jaira“. Stało się ono pokrzepieniem i pociechą wielu zbolałym sercom. Obraz uznano za arcydzieło.

Flora, która wraz z mężem wypoczywa w Afryce i odżywa pod wpływem cudnego klimatu, mówi o śmierci ojca bez smutku...

— Widział zjawisko, do którego tęsknił! Miał widzenie, o które się modlił. Patrzał w oczy Jego zbliska — i nie mógł żyć dłużej! A teraz — twarzą w twarz!

# Zgoda łaski z wolną wolą.

Chociażby łaska Ducha św. była nie wiem jak potężną, zawsze wymaga współdziałania człowieka.

Święty Jan od Krzyża, chwała zakonu karmelitańskiego, umarł roku 1591. Skoro wkrótce potem ciało jego przeniesione zostało z Ubedy do Segowji, udzielono cząstkę tegoż bratu Jana Franciszkowi de Yepes. Dnia jednego, kiedy Franciszek modlił się przed szczątkami brata swego, które były zamknięte w relikwiarzu kryształowym, ujrzał miasto relikwji, obraz swego brata. Podczas gdy ze zdumieniem przypatruje się temu cudownemu obrazowi, ogląda jeszcze większy cud, bo oto widzi N. Pannę z Dzieciątkiem Jezus, a św. Jana klęczącego przed niemi z rękami do modlitwy złożonemi.

Pogłoska o tym cudzie zwabiła mnóstwo osób, które chciały być świadkami tegoż; a każda z tych osób widziała osobny obraz który się zmieniał, ile razy kto przyszedł obaczyć lub uczcić świętą relikwję. Małe dziatki wołały z radosnem zdumieniem, że widzą małe dzieciątko w objęciach swej matki. Rzemieślnicy, którzy nie wiedzieli, co w sobie zawiera relikwiarz, sprzeczali się między sobą! jedni bowiem utrzymywali, że to jest N. Panna, inni, że to Dziecię Jezus, a inni znowu, że to Ecce homo (Oto człowiek).

Relikwje Świętego znowu na innych miejscach te same zjawiska objawiały, a zawsze pociągały za sobą zbawienne skutki. Między innemi tego rodzaju zdarzeniami, oto jeden, udowodniony przy procesie kanonizacyjnym:

W pewnem mieście hiszpańskiem znajdowały się trzy kobiety złego życia, które razem mieszkały. Proboszcz miejscowy upomniawszy je kilkakroć, gdy widział, że wszystkie środki gorliwości jego są daremne, udał się do przeora Karmelitów Bosych, prosząc go o radę i modlitwy. Przeor sądził, że najlepiej uczyni, jeżli jednego z swych zakonników pośle do tych osób, dając mu do pomocy relikwje św. Jana od Krzyża.

Zakonnik ten starał się nasamprzód nawrócić zbłąkane te owieczki słowy ojcowskiemi i przekonywającemi; ale mówił do dusz zatwardziałych.

— Jeźli nie chcecie pojednać się z Bogiem — rzekł im nareszcie — czybyście nie zechciały przynajmniej uczcić relikwje świętego Ojca Jana od krzyża?

— Co to, to chętnie — jesteśmy katoliczkami i czcimy Świętych!

Wtenczas Karmelita wszedł do innego pokoju, złożył relikwje na stole i zaprosił te kobiety jednę za drugą, aby zmówiły pacierz przed świętemi szczątkami. Pierwsza z nich, upadłszy na kolana, zaledwie spojrzała na relikwję z uwagą, tak okropnie pobladła, że ksiądz ją zapytał, czy jej się niedobrze zrobiło?

— Ach — odrzekła wzruszona — ja widzę przed sobą niewiastę, która gorzko płacze pod krzyżem, i trupią głowę; to z pewnością Magdalena, która płacze za swe grzechy. Niech będzie! pójdę w ślady.

Odeszła zalana łzami aby żałować swą drugą towarzyszkę.

Ta śmiała się z jej łez, obiecując, że więcej pokaże odwagi. Stanęła tedy przed świętemi relikwjami z pewnym rodzajem zuchwałego bezwstydu, ale skoro uklękła, stało się z nią to samo co z tamtą.

Pozostała trzecia; ta bała się, żeby spełniając akt pobożności, który obiecała spełnić, nie nawróciła się tak, jak jej towarzyszki; użyła swej wolnej woli — nie chciała uczcić świętych relikwij, a wskutek tego oparła się łasce, zatwardziła swe serce i wytrwała w swych zdrożnościach.